

Alpy Express czyli jak się przejeść 😊

Skład: ja i Adam. Africa Twin i R1100GS.

Cel: ogólnie nabić dużo kilometrów i zaliczyć 10 najwyższych utwardzonych dróg w Alpach. Reszta dowolnie, ograniczona 10 dniami urlopu i zasobnością portfela. Spanie niskobudżetowe, serpentyny, spore dzienne przebiegi. Jedziemy bez kobiet. Nie będą narzekać.

Umówiliśmy się na stacji benzynowej za Grójcem. W drodze do niej kończy mi się paliwo. Dzień wcześniej zdejmowałem bak i zapomniałem podłączyć przewód od czujników rezerwy. Nieźle się zaczyna... Z robotnikiem z pobliskiego odcinka drogi jadę z baniakiem na stację. Całe szczęście był skory do pomocy. No ale i tak przyjadę spóźniony. Będziemy jechać w największym ruchu, wszak dochodzi 17:30 a wieczorem musimy być w Gliwicach u znajomego - Ramiresa. U niego mamy kupić i zmienić opony na nowe. Jak jechać w Alpy to tylko na najlepszych kapciach.

Meldujemy się tam przed 22 więc rozbijamy namiot i zakup ze zmianą ogumienia planujemy na rano dnia następnego. W nocy sytuacja się trochę komplikuje – żona Ramiresa zaczyna rodzić. Nad ranem okazuje się też, że w mojej Afryce tylna dętka wyzionęła ducha. Nie ma co, jeszcze nie przejechaliśmy granicy, a już atrakcje się mnożą. O 16 oba motocykle mają już założone gumy i są gotowe do drogi, a świat od kilku godzin gości nowego członka rodziny naszego znajomego. Pora ruszać.

Czechy przejechaliśmy na tak zwany „raz”. Do Austrii wjechaliśmy po 22. Wszystkie stacje benzynowe są zamknięte, na niektórych są automaty na kartę płatniczą. Niestety winiety kupimy dopiero gdy nad ranem otworzą stacje. Na szczęście bez niej można jeździć bezkarnie po drogach innych niż autostrady, więc udajemy się w stronę Linzu i tam, w lesie, po 1 w nocy, ucinamy sobie pięciogodzinną drzemkę obok motocykli. Skoro świt, a może trochę później, dosiadamy motocykli i po kupnie winiety jedziemy do Zell am See, a dokładniej miejscowości Bruck – tam mamy nocleg u Piotra w pensjonacie, u którego czujemy się jak starzy znajomi.

Rozpakowujemy motocykle, odświeżamy się po podróży i od razu udajemy się na Grossglocknerstrasse. Wjazd kosztuje 18e, ale do końca roku kalendarzowego można potem wjechać tam jednorazowo za dodatkowe 4e. Pomijając fakt, że na trasie można zawracać i przejeżdżać ją 2-3 razy. Pierwsza część Hochalpenstrasse szybko wędruje w górę i tonie w chmurze. Widoczność spada drastycznie, ledwo widzę tylną lampę motocykla 15 metrów przede mną. Wilgotność daje się od razu we znaki, kurtka moknie, robi się chłodno, szybka w kasku paruje, ale towarzystwo innych motocyklistów motywuje do dynamicznej jazdy. Bo niby co, ja się nie utrzymam za jakimś Kawasaki...? Przecież mam naklejkę „PL” na motocyklu, dam radę choćby nie wiem co 😊. Jadąc za lampką zadupka w ZX12R osiągam dość spore prędkości, zakręty pokonuję w dużym przechyleniu, no ale nie myślę o niczym innym jak o utrzymaniu się na ogonie motocykla z przodu. Trafiłem chyba na stałego bywalca. Całe szczęście wie kiedy skręcać, bo widoczność bardzo słaba. Mniej więcej w połowie całej trasy, na tarasie widokowym pod lodowcem pogoda zaczyna się poprawiać. Niebo się przejaśnia, pokazują się tęcze. Zaczynam widzieć trochę więcej i dochodzę do wniosku, że styl jazdy jaki uprawiałem w drodze na to miejsce był delikatnie mówiąc nieodpowiedzialny. Włącza mi się tryb turysty i drugą część staram się przejechać wolniej tak, by czerpać radochę również z widoków. Staram się jak mogę, ale niektóre łuki skusiły do przytarcia butem. Asfalt wysechł. Widoki piękne, robią na mnie wrażenie bo jestem tutaj pierwszy raz. Dotychczas Alpy pokonywałem autostradami nocą jako pasażer autokaru. Dziś jestem tu jako kierowca. Ja i motocykl przeciw nitkom alpejskich asfaltów. I dylemat – widoki, czy pokonywanie każdego następnego zakrętu jeszcze lepiej, dokładniej, sprawniej? Zdjęcia, czy weryfikowanie posiadanej teorii z górską praktyką? Odpowiedź brzmi: jedno i drugie. Wszak nic nas nie goni. Robimy co chcemy. Nie ma kobit. Nie narzekają.

Do Bruck wracamy wieczorem przez Febeltauern Strasse. Droga ta należy do tego samego właściciela co Grossglocknerstrasse. WAŻNE! Przy wjeździe na GG należy wspomnieć, że wraca się przez tamtą drogę. Dostaniecie zniżkę na przejazd tamtejszym tunelem jako bilet pakietowy.

Wieczorem obiado-kolacja, piwko i spać. Rano jedziemy dalej. Celem jest Otztal, najwyżej położona droga i tunel w Alpach, a potem może Passo del Stelvio. Już nie mogę się doczekać.

Dzień drugi. Mało rzeczy nam podeszło. W sumie rozwiesiliśmy rzeczy na wszystkim na czym się dało. Drzwi od szafki, brzeg łóżka, umywalka, parapet... Nawet mi trochę głupio,

że zostawiliśmy w pokoju taki zapach 😊... Rano pakowańsko, prysznic (bo nie wiadomo kiedy będzie szansa na następny), pożegnalna fotka i spadamy. Znów na GG.



Wjazd za 4e. Kufry zaczynają się docierać. Wjeżdżamy na Bikers Nest



oglądamy sobie trzysięczniki, Isettę na której ktoś się tu wdrapał no i MV Agustę 750, tę z wałem napędowym. GOtujemy Żurek na jednym z łuków GG i jedziemy do Lienz, a tam dalej drogą: <http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...9,2.471924&z=9>

Kierujemy się docelowo na Otztal. BARDZO POLECAM TĘ DROGĘ:

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...54495&t=h&z=13>

Jadąc od strony austriackiej, tuż za włoską granicą jest odcinek drogi na którym ruch odbywa się wahadłowo.



Nitka asfaltu wije się ciasno, a widoki pieścżą oczy. Baaardzo mi się podobało. W drodze dojazdowej do granicy jest też bardzo fajne miejsce na nocleg na dziko (na powyższym linku – jeszcze przed jeziorkiem po stronie Austrii). Zjeżdża się po kamieniach w dół z zatoczki parkingowej, można zaparkować pod drzewami chowając motocykl przed ludź jadącymi drogą. Obok rozbić namiot i cieszyć się piękną łąką, czystym strumykiem... Ino

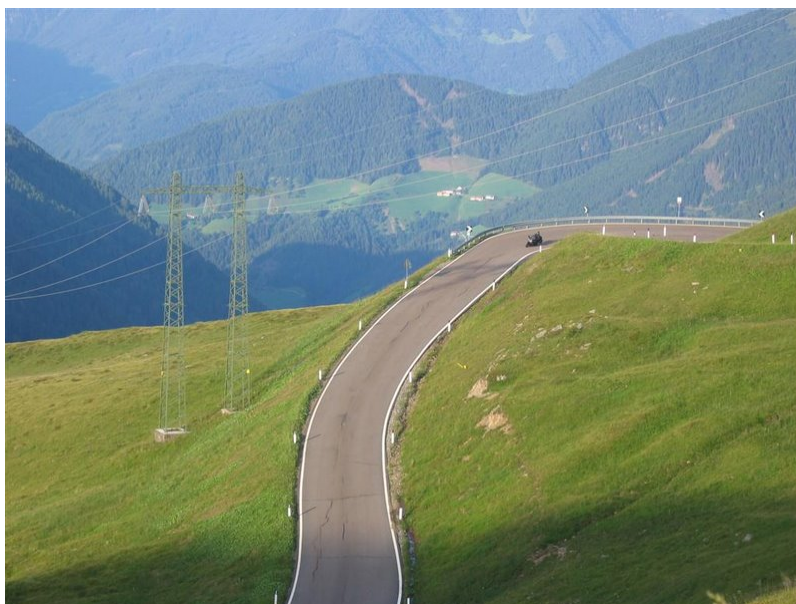
bez chamstwa. Śmieci w torebkę i do śmietnika 🗑️. Wypytałem o legalność takiego biwaku starego Tubylca, który akurat parkował w zatoczce. Na pytanie: „czy jest to legalne?” odpowiedział: „myślę, że nie, ale z drugiej strony – kogo to obchodzi? Ile dni chcecie tu mieszkać?”. Gdy usłyszał, że w grę wchodzi ewentualna nocka machnął ręką i powiedział, że nie ma sprawy. Jakby co mówić, że turyści, nie wiedzieli itd. Austria jest nastawiona na turystów. Wszyscy pomagają i informują z uśmiechem na ustach.

Droga na Otztal nam się trochę czasowo przestaje zgrywać. Mamy do celu tyle, że dojedziemy na 20. Nocleg w obecnym miejscu przed granicą nie ma sensu, bo będziemy mieć pół dnia w plecy. Z Otztal wracać tutaj na spanie też mija się z celem. Trudno, najwyżej przytrzymamy na 2846m npm. Jedziemy dalej.

Po drodze pokonujemy przesoczyste, agresywnie cięte zakręty. Poezja wykręcanej dwójki, nurkującego w hamowaniu przodu i szorowanie aluminium o asfalt. Wchodzenie w zakręty z hamowaniem przednim kołem urywa motocyklom z 50kg masy, przez co winkle mijają jedne za drugim w takim tempie, że musimy je przejechać jeszcze raz 😊. Przefantastyczne 😊. Mówię o tym odcinku:

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...30899&t=h&z=12>

Passo di Giovo (przy miejscowości San Leonardo in Passiria)



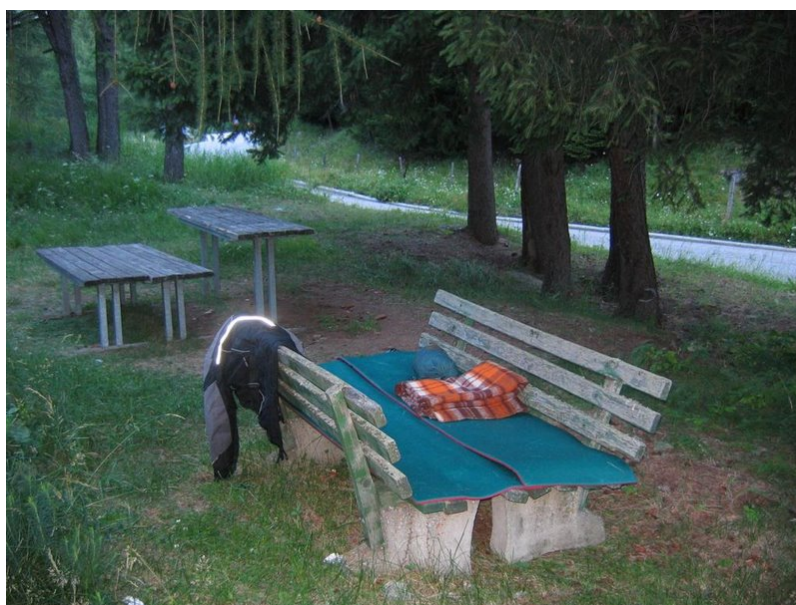
jest pięknym zwieńczeniem odcinka zamykającego opony. Tutaj znów widać potworną różnicę między R1100GS a moją AT. Znów by trzymać się na jego ogonie trzeba mieć

jeden bieg niżej i okolice czerwonego. No ale taki wyjazd... takie drogi... Mieliśmy jechać na Urdele, ale z obawy dla GS'a wybraliśmy ancałty 😊.

Kierując się na Belprato chcemy dojechać do granicy włosko-austriackiej, a potem przełęczą Timmelsjoch dojechać do Otztal. Niestety, robi się późno. Zbliża się 20 a my jeszcze nie jesteśmy na granicy. Dojeżdżamy do niej o 20:30 i wita nas szlaban. Droga zamknięta w godzinach 20-7.



Czemu? Jutro zobaczymy... Rezygnujemy z noclegu za 30e od łebka w pobliskim hotelu, zjeżdżamy około kilometra w dół i nocujemy na ławkach na parkingu/zatoczce.



Szybka kolacja z kuchenki Szmel-4 i kima. Nawet nie chce nam się rozbić namiotu. Przed zaśnięciem wysłałam sms'a do ojca z zapytaniem o stan konta. Na razie wydałem niecałe 600pln. Jeden nocleg u siejesta, reszta za darmo, wjazd na GG i Febeltauern Tunnel w sumie z 30e.. Myślę „nie jest źle”. Jak na 1200km dobry wynik. Spokojny idę spać.

Pobudka trochę po 6:00. W nocy nie padało. Górski chłód nie przeszył śpiwora i ciuchów motocyklowych których nawet nie zdejmowałem. Dopijamy resztki coca-coli z litrowej butelki, która nas kosztowała 5e (5e!!), kanapka z pasztetem spod laski 🍷 i jadziem nach szlaban. Dojeżdżamy po 7. Droga prowadzi do wspomnianej granicy. Za dnia widać czemu ta serpentyzna nocą jest zamykana...



Zero oświetlenia i tradycyjnie zakręty w formie nawrotów 180*. AT musiała zredukować do jedyńki. Droga wspina się wysoko, wysoko i na końcu serpentyнки ze zdjęcia wita nas... przystanek autobusowy 😊. Tam robimy krótką przerwę. Trytkami mocuję statyw do gmoła i w ten sposób powstaje zestaw do kręcenia fimów. Oczywiście instalacja jak i technika kręcenia w technologii rejli. Zanim ruszamy myjemy zęby w wodzie wypływającej ze zbrocza góry przy owym przystanku i jadziem dalej. Znaczy jeszcze wyżej 😊. Drogi z poniższego linku:

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...=UTF8&t=h&z=10>

nie opiszę dokładnie. Biegnie ona na zboczu pasma gór, z jednej strony ściana skalna, z drugiej strony niski murek i przepaść (nie wiem dokładnie jaka, nie zaglądałem). Jest do tego dość prosta i tylko trochę nierówna, więc trochę odkręciliśmy. Timmelsjoch był cały nasz. Na drodze z linka spotkaliśmy JEDEN samochód. Na pewno było to spowodowane wczesną porą, ale nie żałuję tego porannego wstawania. Traska zrobiła na mnie bardzo duże wrażenie. Szarość skał, gdzieś tam również rude kamienie, plamy zieleni, porostów i białe szczyty gór na tle przezroczystego nieba i bijącego porannego słońca. Piknie 😊.



Tutaj przejście graniczne i chatka z napisem „Timmelsjoch” (2509m npm)



Tutaj widok z tego samego miejsca co poprzednie zdjęcie, tylko jakoś 120* w lewo.

Z reszty drogi na Otztal kręciłem filmiki, ale są słabe. Dzidaa czodaa do najwyższego punktu naszej wyprawki. Za tymi chatkami kawałek dalej są bramki, na których trzeba wnieść opłatę (nie pamiętam ile, chyba 8e), a potem wjeżdżając na Otztal chyba 5e. Symbolicznie w każdym razie. No i dostaje się informatory, naklejki... 🇨🇭.

Otztal przywitał nas remontami nawierzchni, parkingów, ruchem wahadłowym. Ruch ten jednak nie był jakiś upierdliwy, bo było wcześniej, pusto. W ogóle było pusto, bo to chyba jest jakaś baza narciarska, a przecie teraz nie sezon. Wyprzedzane autobusy, a były chyba dwa, robią miejsce i sygnalizują migaczem aby je wyprzedzić. Kultura. Skręcając do tunelu, najwyżej wydrążonego w Europie ponoć, dojeżdżamy do stacji kolejki wiozącej turystów/narciarzy jeszcze wyżej – na lodowiec o wysokości 33xxm npm (przy x dążącym do 5). Przy stacji parking, z parkungu widok:



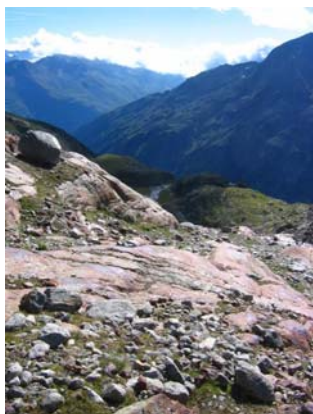
W tle stacja kolejki, i szczyt jakiś.



Postanowiliśmy trochę zejść w dół szlakiem i conieco przegryźć.



Idziemy w dół...



Kolega Adam:



No i ciepłutkie gołąbki:



...z widokiem:



Po zjedzeniu na koń i dojeżdżamy do ślepego końca drogi na Otztal. Bez rewelacji – taki tam okrągły parking i szare skały. No ale to on jest najwyższym punktem trasy, więc należało już wjechać.



Fotki, odczyt z wysokości z GPS (285xm npm) i zabieramy tyłki. Celujem na Stelvio. No ciekawe co to będzie...

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...471924&t=h&z=9>

Adam ustawił w GPS drogę przez miasteczko Stelvio i do Bormio. Droga ta zawierała przełęcz. Zapomniał, że urządzenie domyślnie będzie nas prowadziło przez centrum każdej z miejscowości co trochę nas zbiło z tropu, ale z drugiej strony... Wjechaliśmy w miejscowość Stelvio motocyklami. I nie byłoby w tym nic ciekawego, gdyby nie fakt, iż droga prowadząca między domkami miała może z 1,5m szerokości i przywitała nas znakiem informującym o 40% spadku. No i oczywiście zanim się zorientowaliśmy, że coś z GPsem jest nie halo, trochę się ludziom pod oknami (dosłownie) pokręciliśmy. Wróciwszy na asfaltówkę prowadzącą na przełęcz najpierw trafiliśmy na kręte serpenty, a potem naszym oczom ukazał się Olbrzym:



Timmelsjoch był cały nasz. Tutaj było aż gęsto od pojazdów. Samochody, motocykle, skutery i rowerzyści. Sama przełęcz z tej strony (czyli od miejscowości Stelvio) robi wrażenie. Jest kręta, nierówna, trochę łatana. Nie da się tam mocno świrować. Trzeba uważać bo ochrona w postaci mikrych murków/słupków nie dawała realnych szans na ratunek na wypadek poślizgu na potencjalnym piasku/oleju/żwirku/kapciu (choć trzeba przyznać, że zanieczyszczeń drogi tam nie spotkałem)

. Ciasno:



Złowieszco:



A gdy się już wjedzie na górę trzeba zjechać w dół 😊(Panorama)







Po wizycie na Stelvio mam wrażenie, że jest to dość szalona droga. Tak jakby olano większość kwestii dotyczących zabezpieczeń 😊. Fajne, nie fajne...? Trzeba samemu zobaczyć. Jest to jedna z dziesięciu najwyższych alpejskich przełęczy, no i jest olbrzymia. To jest wystarczająca rekomendacja. Podobno droga z Davos w Szwajcarii do Stelvio to mistrzowskie połączenie. Nie wiem, nie zaliczyłem. Zrobię następnym razem.

Z racji tego, że robi się trochę późno, a pogoda zaczyna płać figle w postaci coraz ciemniejszych chmur zaczynamy szukać noclegu. We Włoszech spanie na dziko, namioty i kampery w niewyznaczonych miejscach są nielegalne. Szukamy zatem kempingu. Niedaleko, w Livigno jest strefa bezcłowa. To dla nas wystarczająca rekomendacja 🇮🇹. Palifko za 1e, alko pewnie też tanie, ale my tniemy koszty. Kemping jest na obrzeżach Livigno. Za 2 motocykle, 2 osoby i namiot płacimy 22e. Prysznic płatny dodatkowo, łazienki czyste. Obok naszego namiotu jacyś niemieccy motocykliści (para- facio na VFR800 i kobitka na CBF1000, oboje po 40tce). Wymiana uśmiechów, rzut oka na motocykle i spać. Ciemne chmury przysłaniają niebo, chowają góry. Kurna... Deszcz...

Rano padało. Jak i całą noc z resztą... Zwijamy mokry namiot i kierujemy się do Mandello del Lario, do muzeum Moto Guzzi. Obejrzeć półlitrową V8 😊. Poza tym LWD tam było to co, AT ma się nie pokazać 🇮🇹? <http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...e=UTF8&t=h&z=9> Na miejscu całujemy klamkę. Niby dojechaliśmy tam o 14:30 i na kartce widnieje informacja, że otwarte w godzinach 15-16 (nie wiedzieliśmy o tym więc się wstępnie

cieszymy z takiego farta) ale potem doczytujemy, że w tym miesiący jest zamknięte. Zjedliśmy na przystanku autobusowym pyszny gulasz i zagadaliśmy do Francuza, który właśnie przyjechał swoim sfatygowanym Gutku.

Ja: Nice bike! How old is it?

Alain: (długo myśli)28.

Ja: (unoszę brwi w geście „no, no!”, a potem z uśmiechem)Any problems?

Alain: (z uśmiechem)Lots of! 😊

Płytką gadką o motocyklu, oglądanie maszynki i co? Na ladze ma naklejkę z Uralem M67 z koszem 😊. No to rozmowa nabrała rumieńców. Najpierw o ruskach, potem o jego Gutku (odchudzony model 850 z piecem 1100, baterie komputerowe zamiast akumulatora, kupiony z przebiegiem 200kkm, potem rozłożony i złożony itd itp.) a skończywszy na ustawieniu gaźnika w Husce te610 z podobnym jak w MG gaźnikiem Dell o'rto. Normalnie tylko wódeczki się napić 😊.



W tak zwanym międzyczasie pogoda się uspokoiła, deszczy przestał kropić.

Alain postanowił skoczyć gdzieś na kawę i ruszać dalej. Przed pożegnaniem polecił nam kilka fajnych dróg wartych przejechania we Francji. W oparciu o jego rady planujemy drugą połowę wyjazdu. Z Mandello strzylamy do Genowy (Genua).

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...7,4.943848&z=8>

W drodze tam przypomina mi się, że kiedyś, po kupieniu mojej AT od włocho z Reggio nell Emilia, pomyślałem sobie, że fajnie byłoby pojechać kiedyś do niego i spytać, czy AT ma 1, 2 czy może 3 przed zegarowym przebiegiem 😊. I wtedy pomysł wydał mi się trochę poroniony, bo przecież to daleko... Kawał świata... A teraz jestem już dalej od domu niż to całe Reggio 😊.

W Genui (-le? 😊) śpimy na kempingu Caravan. W chooy ludzi, kamperów, mało miejsca, drogo (37e!!) i sanitariaty słabiuśkie. Dostaliśmy chyba ostatnie miejsce na namiot – ubity żwir niedaleko wejścia. Ile ja kurew posłałem na włochów próbując wbić śledzia... Dziadostwo i tyle. Wyspać się i spierdalać. Wrrrr... Jedno tylko trzeba przyznać – tamta czarna plaża nocą wyglądała fajnie 😊.



Rano nie była już taka piękna. Zabrałem sobie kamyk na pamiątkę i pojechaliśmy dalej. Do Francji 😊. Na Cote d'Azur 😊.

Zanim klepnę kolejną część... W Livigno widziałem kampera, który z tyłu, zamiast rowerów, wiózł na bagażniku... RD07 HRC.

Tego dnia:

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...8,2.471924&z=9>

A potem:

<http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...=UTF8&t=h&z=10>

Do granicy z Francją jechaliśmy płatną autostrada. We Francji odbiliśmy w głąb lądu pnąc się w kierunku Moulinet. Droga ciekawa, ale nawierzchnia trochę słaba. Lokalesi jeżdżą po niej jak wariaci. Tam gdzie ja srałem w majty, że przestrzeliłem prawy łuk, mijali mnie po zewnętrznej koleś na supermoto, w hawajskiej koszulince. Dawcy jedni 😊.



Jechaliśmy przez Col de Turini – trasę jednego z odcinków rajdu Monte Carlo. Potem równie fajnymi winklami o lepszej nawierzchni:





Aż dojechaliśmy do odcinka wśród takich różowych skał:



Tam też zaczęły się bunkry. Bunkry Linii Maginote'a. Na razie tylko jakieś małe budyneczki...

Naszym celem była dziś Isola 2000, kurort narciarski czy inny diabeł. W drodze nie robiliśmy fotek tylko nabijaliśmy kilometry. Moja szyba rejli (oryginał i przykręcona do niej śrubami ułamana wysoka Givi) działała tak skutecznie, że się zagotowałem. Musiałem kupić butelkę wody i wylać sobie za kołnierz. Łeb mnie rozbolał, chciałem do mamusi... Leżąc w konwulsjach na chodniku jednego z miasteczek po drodze usłyszałem znajomy dźwięk. FRANCUZ na Gutku! Nie poznał na. Motocykli nie zauważył bo stały schowane na parkingu. Adam wskoczył na Bumę by go dogonić, ale pościg nic nie dał. Szkoda, byłoby śmiesznie 😊. Po powrocie mailowałem z nim i się okazało, że poleciał nam miejsca w które sam jechał. Wyprzedzał nas mniej więcej jeden dzień.

Już w samej Isoli jedziemy do przejścia granicznego z Włochami:



Na przejściu granicznym widać jedną drogę asfaltową i kilka szutrówek. Wjeżdżamy w najbliższą, bo prowadzi jeszcze wyżej 😊. Zakazu ni mo. No to jadym, będzie trochę szutru na tym asfaltowym wypadzie.





Wjechalіśmy na łąkę 😊. Łąka jak łąka:



Pięknie, widoki... Idąc za ciosem widzę, że na najbliższy szczyt prowadzi ścieżka. Motur jeden ślad zostawia to próbuję wjechać 😊... Tak oto zdobyłem alpejski szczyt obładowaną XRV na oponach szosowych!



GS wybrał drugą ścieżkę na szczyt. Ambitniejszą. No i się zaklinował 😊



Sytuacja była trochę napięta, bo do przodu już się nie dało, z lewej stromo w dół, z prawej stromo pod górkę... Zaczęliśmy cofać, ale Buma zaczęła o kamienie cylindrem, podnóżkiem, centralką... Zaczynało się ściemniać... Mieliśmy już w planach rozbicie tu namiotu i przenocowanie, ale zerwał się wiatr, zrobiło się chłodno... Sprężyliśmy się i po dłuższym czasie udało nam się odwrócić GS'a. Daliśmy radę 😊.

W drodze na dół:



W parku Mercantour są wydzielone miejsca, w których w godzinach 19-7 można rozbić namiot. A przynajmniej tak zrozumieliśmy napisy, które szybko mijaliśmy 😊. Tutaj fotka z miejsca biwakowego w nocy, tuż po rozbiciu namiotu:



O poranku:



Obok ławeczka, strumyk, blask wschodzącego słońca...



Pięknie 😊. No ale 7:00 się zbliża. Trza się zbierać. Dziś dalsza część francuskiego planu. Col de la Bonette, Col de Restefond, Col du Galibier i Col d'Izoard. Ale to w następnym poście 😊.

Umyliśmy zęby w świeżej wodzie ze strumienia, zwinęliśmy manele i ruszyliśmy w drogę. W miejscowości Barcelonnette zalaliśmy pod korek i pozbyliśmy się zbędnych, zalegających nam już jakiś czas kilogramów w kibelku. Potem wycelowaliśmy na Col de la Bonette. Droga była bardzo przyjemna. Z resztą widać to błękitne niebo 😊.





W GS'ie opony łysieją coraz bardziej (tu była szcałeczka):



Po drodze mijamy kilka bunkrów. Niestety są zniszczone, wysadzone w powietrze, zawałone kamieniami i drzewami. Szkoda, bo korci żeby wejść 😊.



Tutaj tak zwany „potykacz”. Świński ogonek mający za zadanie utrudnianie pieszego szturmu na bunkier:



Jadąc dalej, wijącą się drogą o dobrej nawierzchni, umiarkowanie pustej, pozbawionej Policji, radarów i kamer:



Przejeżdżamy przez taką oto zabudowę, która nie mamy pojęcia czym jest:





Jest to chyba na Col de Restefond, którą dojechaliśmy do Col de la Bonette. Zanim jednak udaliśmy się na najwyższą pętlę tej drogi (2802m npm) uwagę naszą przykuły dwie, trzy kopuły wystające ze zbocza przydrożnego szczytu. Coś jakby bunkier 😊. Objechaliśmy górkę dookoła i zaparkowaliśmy przed wejściem. Sprawdziliśmy czy drzwi da się zamknąć (żeby się same jakoś nie zatrzasnęły 😊), założyliśmy kaski (żeby niczym w łeb nie dostać) i uzbrojeni bojowo w czołówkę, lampeczkę diodową z roweru i aparat foto weszliśmy do środka. Oj warto było...



W środku prosty korytarz prowadzący wglęb. Woda jest tam między innymi po topniejącym śniegu, który jeszcze zalegał w wejściu:



Na skrzyżowaniach korytarzy takie oto zwrotniczki na wózek transportowy:



Włączając coraz dalej, w te ciemnicę i zatęchłą woń zwiedzamy kolejne pomieszczenia. Niektóre małe, puste, z gołymi ścianami, niektóre większe, z dobrze zachowanymi kafelkami:



Dalej jakieś wentylatory chyba, czy coś...:



Znaleźliśmy również schody. Schody jak schody. Wypadałoby wejść. Tak mniej więcej wyglądały, mimo, że fotka tak strzelona, to prowadzą one na górę.



Wchodzimy od razu na samą górę, czyli drugie piętro bunkra. Wita nas:



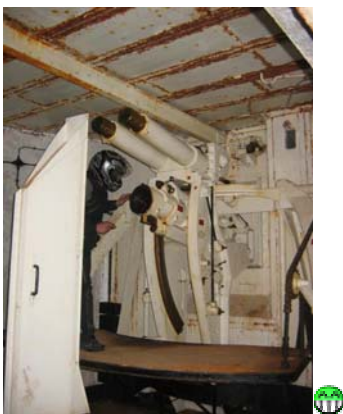
Obok jest winda:



Naprzeciwko windy takie oto drzwi:



A za nimi...:



Pozbawiona znamion broni armata jakaś normalnie 🤔





Na przeciwległej ścianie półeczki. Normalnie „Działa Nawalony” 🇺🇸



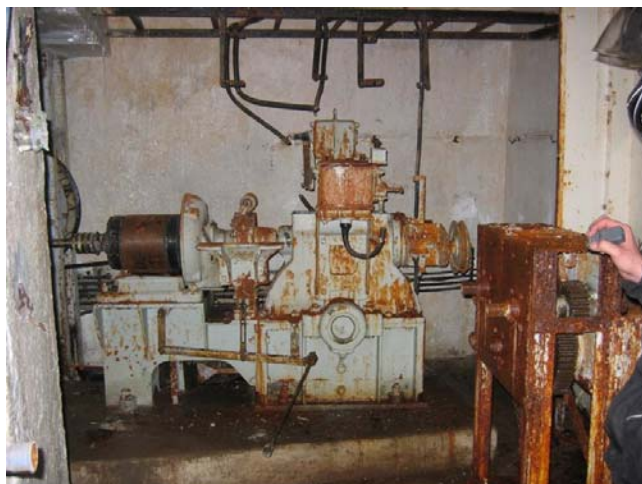
Haubica też była:



Szczęki nam opadły, śmiejemy się do siebie. Nie spodziewaliśmy się takich atrakcji. Nic nie wiedzieliśmy o tym bunkrze, że jest otwarty, że jest zachowany w takim stanie... Ech!

Postanowiliśmy zejść schodami i powoli kierować się do wyjścia, ale przecież zostało jeszcze pominięte pierwsze piętro. Planowaliśmy je również spenetrować, ale szybko okazało się, że idziemy korytarzem wzdłuż świeżo wyglądającego przewodu 220V, więc daliśmy w tył zwrot. Jeszcze spotkalibyśmy jakiegoś potfóra. W ryj by dał o.0 ...

Schodząc zahaczyliśmy o silnik windy:



Kierując się do wyjścia nie mogłem doczekać się widoku promieni słonecznych padających przez nadal otwarte drzwi. Myśl, że nikt nas tu nie zatrzaśnie była niesamowicie kojąca podczas przypominania sobie drogi powrotnej w tym ciemnym labiryncie 😊. Główny korytarz przywitał nas jasnym światłem. Uf 😊.

Z pętli Col de la Bonette rozpościera się piękna panorama. Lepiej poszukać jakichś fotek w necie. Mój bździk niewiele łapał w obiektyw. Jedyne co to ta szutróweczka w dole. Ponoć przejezdna, otwarta w sensie. Ale o tym nie teraz. Za rok 😊.



W drodze na Col d'Angel, najwyższego przejścia granicznego w Europie:



No i samo przejście francusko-włoskie:



Potem Col de Iseran:





Pogoda zaczyna się psuć. Jedziemy na Col du Galibier. Rekomendowaną przez naszego znajomego Francuza przełęcz, która nadaje się bardziej dla szybkich, sportowych motocykli, ale mimo to warto ją zobaczyć. Podobno widoki, i fajne serpentyny...

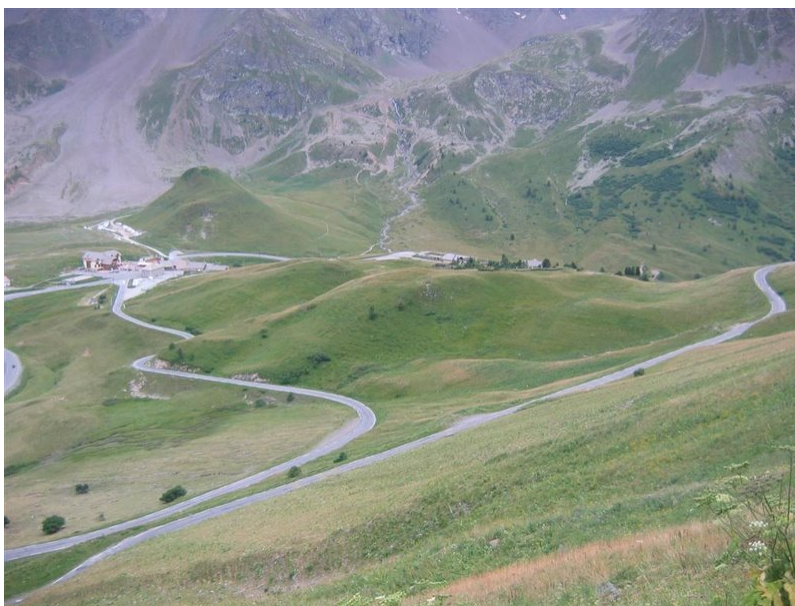
Po drodze spotkałem bliźniaczkę:



Oczywiście bita, spawana z trzech i w ogóle, bo nie ma białego paska na błotniku i handbarów. A ja mam 🇵🇱.

Po drodze była jeszcze Col de Iseran, ale stamtąd nie mam fotki.

Tutaj już Glibier:



Jest szaro, chmury są dość nisko... Niestety tym razem ta przełęcz pokazała swoje ponure oblicze, choć jemu też nie można odmówić swego rodzaju piękna:



Jadąc przez Galibier można przejechać najwyższą część tunelem z ruchem wahadłowym, lub odbić w bok i wspiąć się wyżej, na taras widokowy:



Z niego zjeżdża się wprost do drogi, która przebiegała przez tunel. My wybraliśmy widoki. Tunel kiedy indziej.

Dochodzimy do wniosku, że chyba czas wracać. Codzienne cięcie coraz to nowymi drogami w górę i w dół, rzucanie motocykla w zakręty nas trochę wymęczyło. Jazda powoli zmienia się w konieczność dotarcia do celu, a nie frajdą samą z siebie. To ostatnie zdjęcie, na którym są góóóri:



Powrót był pod znakiem deszczu. Mieliśmy ciąć całą noc i przespać gdzieś na dziko w Niemczech, ale nie daliśmy rady. Walcząc i resztki przytomności w ulewie wytrzymał tylko do miejscowości Mont Blanc, gdzie w zatoczce, nie zastanawiając się nad legalnością noclegu, rozbiliśmy namiot. Lało cały czas, rano obudziliśmy się we mgle, nic nie było widać... W Szwajcarii znów padało, więc za cholerę nic nie pamiętam z tego kraju oprócz autostrad. W McDonalddie nie mogłem zapłacić kartą, więc wyjąłem ostatnie przemoczone 20e i chlapnąłem nim na ladę tłumacząc, że „sorry ale jadę już 400km w deszczu i mam wszystko mokre” 😊. Kobiątka się uśmieła i dała nam całą torbę husteczek, cukry do herbat w zestawie, czekoladek do kawy i co tam tylko miała pod ręką, żebyśmy się wspomogli. Miła kobiecina 😊. Big Mac'i zagryźliśmy gołąbkami z nieocenionego Szmela-4 i pojechaliśmy dalej. W Niemczech, po 600km w deszczu zapłaciliśmy za nocleg gdzieś 80km pod Monachium, a potem na raz wróciliśmy do Warszawy jadąc przez Czechy, Szklarską, Wrocław. We Wrocławu miałem szlifę na A4, Adam 2km później ledwo utrzymał Bumę na śliskim produkcie asfaltopodobnym, a ja przejechałem drewniany most na jednej z robót drogowych z poślizgiem obu kół. Kurwa kocham Wrocław 🇵🇱.

Słowem podsumowania:

Miała być Rumunia 😊. Szukaliśmy wiele informacji o Urdelach w necie, tutaj na forumie, na advriderze... Po trafieniu na stronkę Pana Mazby'ego Adam się zaczął trochę obawiać o możliwości swojego GS'a 😊. Wtedy wrócił pomysł kombinacji alpejskiej. Adam był raz samochodem w Austrii, ja tych gór nie znałem wcale. Czyli ja byłem tabula rasa, a Adam miał jakiś pierwszy akapit wpisany 🤔. Kierowanie się innymi wycieczkami w tamte strony

nie miało sensu, bo była ich cała masa i wszyscy piali z zachwytu jak to było zajebiście 🏔️. Z braku lepszej koncepcji pokierowaliśmy się listą najwyższych dróg w Alpach z Wikipedii. Odcinki między nimi wyznaczał Adam, bo miał GPS (Gdzie Podziałem Samochód) i widział gdzie są serpentyny. I tyle.

Lista dróg: [http://en.wikipedia.org/wiki/List of...ds in the Alps](http://en.wikipedia.org/wiki/List_of...ds_in_the_Alps)

Na prawdę ciężko mi podać top 10, ale niech będzie:

1. Timmelsjoch
2. Stelvio Pass (razem z wjazdem do wsi drogą z nachyleniem 40%)
3. Isola 2000
4. Col de la Bonette/Restefond (i bunkier 😊)
5. <http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...54495&t=h&z=13>
6. <http://mapy.google.pl/maps?f=d&saddr...30899&t=h&z=12> oraz Passo di Giovo pod miejscowością San Leonardo in Passiria
7. Otztal. W sumie za widoki i wysokość, oraz tunel. Rewelacji winklowych nie ma. No ale nie są potrzebne, jeśli się tam dojedzie Timmelsjochem 😊
8. Grossglockner - otwarcie naszej włajazy. Z czasem się okazało, że reszta jest dla mnie równie piękna. Za to w większej części za darmo i o wiele, wiele puściej 😊.

Reszty nie ma sensu wypisywać. Ale tak na prawdę tak ciężko trafić na jakąś dziadowską drogę 😊. Wystarczy wybrać jakąś biegnącą w dolince, lub linią szczytów. Widoki załatwiają resztę. Asfalt w Austrii, Szwajcarii i Francji mieliśmy bez pudła. Włochy były różne.

Ja tego wypadu nie zapomnę długo. Grossglocknera w ulewie i chmurze, a drugiego dnia w pełnym słońcu... Pustego Timmelsjocha tuż po wschodzie słońca... Oblężonej Stelvio Pass... Cięcia winkli w okolicach Passo di Giovo... Widoku z 28xxm npm na Otztal... Wjechania na szczyt alpejski w Isoli 2000... 1000km na raz, z czego ze 700 w deszczu... hmhhh 😊.

W głowie już jest wstępny plan kolejnego wypadu w Alpy.